NUMER 44. DNIA 11. LISTOPADA 1906 ROKU. ROK XIV.

TYDZIEŃ

DODATEK
LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Lwowskie znaki bibljoteczne.

I.

Najdawniejsze księgozbiory prywatne.

Poniżej udało się zebrać dziesięć znaków bibliotecznych lwowskich z siedmnastego wieku. Jest ich niewątpliwie daleko więcej, ale czekają przypadku, który by egzemplarz książki tak oznaczonej, wetknął ciekawemu badaczowi do ręki. Książka bowiem, jak już raz wspomniano, nie była zbyt rzadkim sprzętem w starym Lwowie, a wiadomości zachowane o doborze i składzie mieszczańskich księgozbiorów stanowią bardzo chlubne świadectwo o umysłowym poziomie ich właścicieli.

Charakterystyczną cechą tych bibliotek jest wszechstronność, wielojęzyczność, a przedewszystkiem ich podstawa humanistyczna, oparta zawsze na doborze co najlepszych klasyków rzymskich i greckich. Służyły celom praktycznym, księgi z nich drogą spadku przechodzą niekiedy na jednostki, które ich właśnie bynajmniej niepotrzebowały, jak na przykład dzieła ściśle medyczne w bibliotece Zimorowicza, który lekarzem nie był, czasami znowu ludzka, zwykła próżność kazała gromadzić księgi, dla popisu i chwały — ale zawsze, prawie każda biblioteka, o której się szczegółowsze znajdują wiadomości, odzwierciedla doskonale stan umysłu i zamiłowanie swego właściciela. A że ten stan umysłu był niekiedy bardzo wysoki, że to zamiłowanie w wielu wypadkach było istotną potrzebą duszy o tem zaświadczy byt następujących księgozbiorów:

— W bibliotece uniwersyteckiej we Lwowie znajduje się kilka książek ze znakiem, a raczej zwykłym podpisem: „*F. Alnpbek ze Lwowa w Warszawie*“. Książki te pochodzą widocznie z biblioteki *Fryderyka Alembeka* lwowianina, kanonika przemyskiego i uczonego bibliofila († 1673).

O samej bibliotece Fryderyka Alembeka, jej losach, skąd się wzięła w Warszawie — nic nie wiadomo. Jej właściciel natomiast był synem mieszczanina lwowskiego Jana Alembeka i być może odziedziczył część jego bibljoteki, o której wiadomości zachowały się w aktach Archiwum miejskiego.*) Jako kanonik przemyski uporządkował Fryderyk Alembek bibliotekę kapituły przemyskiej w r. 1647 i wydał stamtąd wiele materjałów. Ponadto jest Alembek autorem kilkunastu dzieł w języku łacińskim, a między nimi słynnego panegiryku na cześć miasta Lwowa p. t. „*Xeniolum*... i t. d.“

Autograf F. Alembeka
z bibljoteki uniwersyteckiej

— O wiele więcej wiadomości natomiast zachowało się o bibliotece brata jego Walerjana Alembeka († 1678). Znak jego biblioteczny, względnie autograf znaleziony na jednej z książek, które wchodziły w skład jego biblioteki podajemy niżej.

Walerjan Alembek, doktor filozofii i medycyny, przez czas pewien profesor filozofii i rektor akademji w Zamościu, a równocześnie kupiec i rajca lwowski, posiadał we Lwowie dużą na owe czasy bibliotekę, opisaną dokładnie w inwentarzu jego spadkowym z r. 1678**). Biblioteka składała się z 1248 dzieł, umieszczonych

*) Acta cons. z r. 1636 p. 1454, por. także Łoziński: Patrycjat i mieszczaństwo lw. str. 144.
**) Acta cons. 1678 p. 266—326, Łoziński str. 145.

w 45 szafach. W inwentarzu jest podzieloną na 4 działów a mianowicie: 1) medycyna, 2) teologia i prawo, 3) historja, 4) astronomja, 5) scholastyka. W dziale medycznym znajdowało się 308 dzieł w 11 szafach, w dziale teologicznym 114 dzieł w 8 szafach, w dziale historycznym 899 dzieł w 10 szafach, w dziale astronomicznym 162 dzieł, a w scholastycznym 365 dzieł w 10 szafach. Obok dzieł współczesnych, kronik i t. p. znajdował się w tej bibliotece duży zbiór klasyków starożytnych, oraz sporo dzieł włoskich. Posiadał nadto Walerjan Alembek małą galerję obrazów złożoną z 102 sztuk, między którymi znajdowały się obrazy „włoskiej maniery", malowane na blasze, płótnie, drzewie etc.

Walerjan Alembek, rajca lwowski, z biblioteki dra A. Czołowskiego.

Biblioteka ta przeszła w spadku na jego syna Ludwika Alembeka, który umarł w czasie morowej zarazy w r. 1704. W testamencie swoim błagał spadkobierców, aby „tak pięknej i sławnej biblioteki chcieli dotrzymać". Mimo to jednak w transakcji spadkowej podzielono ją na trzy części, poczem wszelki ślad o niej zaginął.

— Miało także swój znak biblioteczny i samo miasto Lwów. Na księgach miejskich z XVII wieku, przechowywanych w Archiwum miejskiem, tłoczono herb miasta Lwowa, owalny, złocony, wraz ze złoconą ornamentyką na oprawie, zwykle pergaminowej. Znak ten powtarza się na wielu zwłaszcza księgach rachunkowych. Ponadto jak świadczą, zachowane w aktach, rachunkowe ślady zakupna książek, posiadało miasto Lwów i własną bibliotekę służącą wyłącznie do celów praktycznych, a złożoną z samych prawie dzieł prawniczych.

Obecnie używa Archiwum miejskie zwykłej drukowanej etykietki, pomysłu dawnego archiwarjusza Karola Widmana, z napisem „Archiwum miejskie" i liczbą odnośnego działu.

— Duża i zasobna biblioteka Dominikanów lwowskich istniejąca częściowo po dzień dzisiejszy, nie posiadała specjalnego eks-librisu, a znakiem jej był zwykły napis: „*Conventus Leopoliensis Corporis Christi*" (lwowski konwent Bożego Ciała) używany od XVI wieku, jak świadczy rękopis biblioteki Ossolińskich nr. 834 i inne z księgozbioru Dominikańskiego pochodzące. W pierwszej połowie ubiegłego wieku przechodziła ta biblioteka bardzo smutne koleje, tak że wszystkie „Polonica" i „Ruthenica" zostały z niej rozkradzione, a pozostały tylko książki, których nikt brać nie chciał.

(C. d. n.)



Projekt reformy szkół średnich.

(Patrz: „Muzeum", marzec i wrzesień 1906).

(Dokończenie).

Najsłabszą stroną reformy szkolnej jest ta okoliczność, że do swego rozwoju potrzebuje ona czasu, a czas jest zdecydowanym wrogiem wszelkiej wytrwałości. Trudno bowiem pracować z tem przeświadczeniem, że z owoców naszej pracy będą korzystać dopiero nasze wnuki. Pocieszmy się jednak tem, że rozpoczęcie dzieła wielkiego przynosi nieraz tak wielkie szczęście, jak i jego ukończenie, że Polska przecież sięga dalej, niż czasy, w których żyjemy, a pracując nad reformą szkoły, tworzymy właśnie coś takiego, co nas nietylko przeżyje, ale i przeżyć powinno.

Projekt nowej szkoły powinien być w ten sposób skonstruowany, by budził jak najmniej opozycji. Nie potrzeba sobie pracy utrudniać. Kwestją uczenia lub nieuczenia niektórych przedmiotów n. p. filologji klasycznej i religji, które znajdują śród nas i gorliwych przeciwników i gorących adherentów, należy pozostawić na razie na uboczu. Natomiast sięgnąć należy do źródła edukacji polskiej, do jej szczerozłotego początku, do systemu oświaty wypracowanego przez komisję edukacyjną, który jest naszą chlubą wobec Zachodu i wieczystym, nieprześcignionym wzorem wszelkich naszych w tym kierunku usiłowań.

Nie zapominajmy o tem, że wszelki projekt, mający jakieś cele praktyczne na oku, musi być wypróbowanym praktycznie. Powinniśmy się przeto zdobyć na próbną szkołę polską, całkiem inną, niż dzisiejsze, szkołę, którąby mogła się stać miejscem doświadczeń pedagogicznych, kontrolowania naszych zasad, a następnie wzorem dla innych szkół takiego typu. Że taka je-

dna wzorowa szkoła może odrodzić całe szkolnictwo, mamy przykład na szkole angielskiej w Rugby, z której powiał duch odrodzenia na całą Anglję. Taka szkoła jest nieodzowną w dzisiejszej chwili także i ze względu na odradzające się życie w Królestwie. A Królestwo niema dzisiaj prawie żadnych tradycji pedagogicznych, ani uświadomionych i ukwalifikowanych sił nauczycielskich; będzie więc musiało wzorować się na szkole galicyjskiej.

Powiedzieliśmy, że aby projekt nowej szkoły ustalić i wypróbować, na to trzeba okresu nieraz kilkudziesięciu lat. Lecz już i dzisiaj możemy, opierając się na doświadczeniu, tudzież historycznej znajomości tego rodzaju prób w innych krajach, podać jej najogólniejszy zarys.

Nowa szkoła powinna wziąć na siebie całe wychowanie swego ucznia, a nietylko wykształcenie intellektualne. Stwierdzoną jest bowiem rzeczą, że młodzież poza szkołą uczy się marnować czas, czemu zapobiedz nie mogą i nie chcą rodzice, żyjący w trudnych warunkach współczesnej doby, uganiający za zdobyciem chleba i zaspokojeniem najpierwszych potrzeb życia.

Drugim postulatem jest, by szkoła próbna znajdowała się na wsi. Miasto ze swoją wrzawą i hałasem, ze swojem środowiskiem moralnem, z swoimi warunkami hygjenicznymi nie sprzyja wcale powolnej, systematycznej pracy wychowawczej, konsekwentnemu i pełnemu rozwojowi sił umysłowych, tudzież zdrowiu fizycznemu. Potrzeba przecież już raz wyrwać młodzież z tych nienaturalnych warunków istnienia, dać jej środowisko wolne i szerokie, w któremby mogła zawrzeć bliższą znajomość z przyrodą, w któremby mogła rozkwitać w zdrowiu i weselu, pokochać szczerze pracę, swobodną naukę i ćwiczenia fizyczne!

Szkoła takiego typu, założona w takiem środowisku, rozwijająca się w takich warunkach, będzie mogła spełnić to, czego dzisiaj nie spełnia, będzie mogła zbudować w szercach młodzieży podwaliny do wychowauia moralnego, intellektualnego; da jej bowiem zdrowie, swobodę umysłu i wesołość.

Tak zaniedbywane u nas dzisiaj fizyczne wychowanie młodzieży będzie przedmiotem pierwszorzędnego znaczenia w nowej szkole. Oceni ona doniosłość wpływu etycznego, jaki wywiera czystość i normalny rozwój ciała. Dzisiejsza szkoła, która potrafi najważniejsze postulaty wychowawcze w karykatury przemienić, stara się wywiązać z tego tak ważnego zadania zaprowadzeniem urzędowej gimnastyki, wegetującej ledwie w kilku szkołach, nie znajdującej odpowiedniego poparcia ani u uczniów, ani u nauczycieli. Zresztą śmieszne to jest spodziewać się, aby sprawa fizycznego wychowania dała się rozwiązać w czterech wilgotnych ścianach budynku szkolnego, choćby nawet Sokoła. Na to trzeba szerokiej przestrzeni dla młodzieży, zdrowego powietrza, ciągłego ruchu, hygjenicznego życia.

W szkole dzisiejszej panuje duch obłudy i nieszczerości. Smutny ten objaw wynika stąd, że szkoła jest męczenniczką najrozmaitszych regulaminów i reguł, których wypełnić nie może. Dysproporcja ta, jaka zachodzi między tysiącem przepisów, a możnością ich wykonania, to bolesne rozdarcie szkoły, jest przyczyną, że nie nadaje się ona do moralnego wychowywania młodzieży. Rozwój strony moralnej człowieka musi się odbywać w atmosferze swobody; na tej też podstawie powinni nauczyciele uregulować swój stosunek do uczniów. Nauczyciel stanie się duchowym przewodnikiem młodzieży, a w swobodnych z nim rozmowach będą uczniowie wyrabiali sobie pogląd na świat i życie. I tu ustrzeże się nowa szkoła od najcięższego błędu starej. Oto nie da sposobności wychowankom swoim do odróżniania wiedzy oficjalnej, szkolnej, od wiedzy rzeczywistej; zerwie z tradycją nietykania rzeczy drażliwych; albowiem nie na zatajaniu prawdy opiera się wychowanie, ale na przyzwyczajaniu do dobrego.

Wychowanie intellektualne w nowej szkole da uczniom sposobność wyzyskania samodzielności w jak najszerszym zakresie. Samodzielność pracy jest najlepszem lekarstwem na znudzenie i obojętność dzisiejszą uczniów, które wynikają z ich bierności w nauce. Dzięki „wgadywaniu“ w uczniów wiedzy, otrzymują oni gotowe obserwacje, fakty, uogólnienia, wskutek tego reprodukcja przeważa powszechnie nad oryginalną produktywnością. Brak indywidualizowania zastosowanego do osobistości wychowanka obniża również jego poziom intellektualny. Temu stanowi rzeczy będzie musiała nowa szkoła przeciwdziałać dwoma hasłami: „więcej samodzielności, mniej pustej erudycji“ i „należy indywidualizować“.

W tym celu trzeba przedewszystkiem porządnie okroić materjał naukowy, a położyć w nim nacisk tylko na rzeczy istotne, nie ograniczając go zresztą z góry, gdyż przerobiona jego ilość powinna pozostawać w prostym stosunku do

zdolności umysłowych uczniów. Następnie należy w nauczaniu zastosować metodę heurystyczną w jak najszerszym zakresie, przyczem zmieni się i dotychczasowa rola nauczyciela. Uczeń będzie pracował samodzielnie w laboratorjach w sposób prawdziwie naukowy, sam będzie czynił doświadczenia i obserwacje, nauczyciel będzie tylko jego przewodnikiem i zwolna, na podstawie przerobionych eksperymentów, będzie go wiódł do uogólnień naukowych. Literatury, historji, języków, będzie się uczył mniej drogą akroamatycznych wykładów, więcej zaś drogą wczytywania się w arcydzieła i obszernych, a przystępnych monografij. Wiedza podręcznikowa powinna odpaść zupełnie; jest ona bowiem z natury rzeczy martwa i scholastyczna, a będąc esencją teoretycznej wiedzy, nie potrafi rzeczy przedstawić barwnie i żywo.

Uczniom, okazującym specjalne zamiłowanie w jakimś przedmiocie, należy pracę nietylko umożliwić, ale i ułatwić. Należy ich przedewszystkiem zwolnić od zbyt szczegółowych wymagań z zakresu innych nauk. Na tem polega indywidualizowanie intellektualne.. Nie szkodzi ono ogólnemu wykształceniu danego osobnika, owszem rozwija w nim właściwości charakterystyczne jego umysłu, dając pole szerokie urzeczywistnieniu jego usiłowań i skłonności. Z takich ludzi wyrosną kiedyś dzielni uczeni, dzielni praktycy, dzielni fachowcy. Dodajmy do tego, że szkoła nowa będzie w swym zamkniętym zakresie obrazem całego życia społecznego, że dając młodzieży wewnętrzną autonomję, wyrobi w niej zmysł społeczny i rządną karność społeczną, opartą na podstawie swobodnej a pięknej etyki i koleżeństwa: — a będziemy mieli najogólniejszy obraz przyszłej szkoły polskiej, na której oko społeczeństwa będzie mogło spocząć życzliwie i z otuchą. *Ślep.*



GUSTAW JANSON.

DZIECKO.

(Dokończenie).

— Tak... ale nigdy mi tak dobrze nie było, jak tu... teraz. Nie chcę iść stąd. Nigdy nie leżałem w łóżku z czystą pościelą. U czarownicy łaziły wszy.

Uświadamiał sobie, co traci. To niebo, o którem dozorczyni mówiła, zdawało mu się tylko bajką dla uspokojenia go, żeby chętniej wracał do tego, co było. A chociażby nawet słowa jej były prawdziwe, bał się zamiany przyjemnej teraźniejszości na przyszłość, o której nie wie nic pewnego. Pożerany straszną trwogą i śmiertelnym strachem, usiłował szybko wyliczyć przyczyny, które mogły by przeszkodzić przeniesieniu go na inne miejsce. Słowa wychodziły z gardła urywane, mięszały się w ustach, dusiły się między wargami, tak, że to, co mu się udało wydobyć na zewnątrz, były to urywki zdań, przerywanych chrapliwymi jękami i żałosnem kwileniem.

— Tu jest ciepło, a ja... ach, ach, ach, — marzłem zawsze. Ach jak to wściekle dusi w gardle... na gardle ją mam, tę głupią dziewuchę — przestań dusić, słyszysz! ach... Połowa szuflady jest moja... ach, nie zamykać... ach, ach... Nie chcę krzyczeć — o, o... cicho jestem... Co do djabła, ani się skrzywić nie wolno?!

W jego rozgorączkowanym mózgu następowały po sobie bezpośrednio rozmaite sceny, dawne, zapomniane, drobne sprawy przelatywały z szybkością błyskawicy, a ręce jego bezustannie skubały kocyk, a głos zniżał się do coraz cichszego szeptu. W kącikach ust ukazała cię krwią zabarwiona ślina i głowa przerzucała się z boku na bok. Jak nagle zaczął majaczyć, tak samo nagle przestał, aby natomiast ze łkaniem prosić o to, co w jego mniemaniu było szczytem radości i rozkoszy.

— Chcę mieć czystą pościel i ciastka.

Napad płaczu trwał krótko, poczem ciałko się uspokoiło i leżało bezwładnie, jak gdyby niewidzialne ręce przytwierdziły je do materaca. Chłopczyk zapadł w ciężki sen i leżał z oczyma przymkniętemi, a z gardła wychodził świszczący oddech, podobny do pary, wydobywającej się z rury, której wentyl się skrzywił.

Dozorczyni widząc, co się dzieje, uklękła przy łóżku i ze wzruszeniem szeptała:

— Niebo oczekuje — niebo, Eryczku!

Zauważyła jednak sama, że głos jej brzmiał niepewnie i umilkła upokorzona własną niemocą.

Niespodzianie chłopczyk otwarł oczy i zwrócił na nią zupełnie przytomne spojrzenie.

— Nie chcę tam! — rzekł. — Boję się!

— Eryku... Eryku!

— A może tam są łóżka z czystą pościelą? — pytał z przekąsem.

— Drogi Eryczku!

— I ciastka z kremem — ciągnął dalej z szyderstwem niemal.

— Dziecko... dzieciątko!

Zrozumiał jej słowa tak, jak rzeczywiście brzmiały, to jest o wezwanie o pomoc dla siebie samej i dodał z wyrzutem:

— Nigdy mi tak dobrze nie było, jak teraz, a...

Więcej nie mógł powiedzieć, gdyż gwałtowny kurcz schwycił go za gardło, a całe ciało wiło się w konwulsjach.

Klęcząca zrozumiała go jednak, wsparła czoło o żelazo łóżka i usiłowała nie myśleć.

Gdy po chwili odważyła się podnieść oczy, chłopczyk był już martwy, zimny. Pochyliła się nad nim, jak gdyby chciała na jego czole złożyć pocałunek, którym prosiłaby go o przebaczenie, lecz zawahała się. Niesłychana trwoga przemawiała z tych pokurczonych jeszcze członków, a ręce, któremi zgarnął koc i trzymał go mocno, okazywały gorącą chęć pozostania na miejscu. Dozorczyni znała ten wyraz i uczucia, miotające konającymi — widziała już wiele wypadków śmierci — ale wywołała je inna przyczyna. Drżąca wstała z klęczek i chwiejąc się, podeszła do okna, aby spojrzeć, czy to niebo, o którem mówiła, istniało rzeczywiście.

Dniało już, a odwieczne źródło światła rozsypywało ognistemi wiązkami swoje marcowe promienie, oświecając szereg bezlistnych drzew, których gałęzie błyszczały kryształkami szronu. W górze sklepiało się morze powietrzne, ciemnoniebieskie bez chmurki a przed nią majaczyło miasto. Wpatrywała się w dom, którego okna połyskiwały złotem; zdało się jej, że to ogromne jakieś, otwarte usta — olbrzymy, wybuchające śmiechem i szydzące z niej. Przestraszona odwróciła się znów na pokój, padła na kolana przy łóżku, na którem leżało dziecko i wznosząc splecione ręce w górę, jąkała żałośnie, błagalnie:

— ...odpuść nam nasze winy!

Na dworze słońce wychodziło coraz wyżej, tryumfujące potęgą swoją rozlewało światło i ciepło na wszystko, budziło radość i wlewało nadzieję. Między domami dawał się słyszeć gwar dzienny, budziło się miasto. Dozorczyni wciąż klęczała przy łóżku. Obok niej na ziemi leżał stłuczony talerz i dwa połamane ciastka; w jednem można było zauważyć małe ślady ząbów, jakgdyby szczura lub innego zwierzęcia. Kobieta, która myślała jedynie o sprawieniu przyjemności umierającemu dziecku, nie przestawała się modlić wśród światła, napływającego strumieniem i wypełniającego pokój blaskiem, pełnym obietnic, lecz zdobyć się umiała tylko na jedno jedyne zdanie, które raz w raz powtarzała:

...odpuść nam nasze winy!

Z szwedzkiego tłum. J. Klemensiewiczowa.



BRONISŁAW SZWARCE.

PAMIĘTNIKI.

(1834 — 1903).



(Ciąg dalszy).

W jednej tylko dziedzinie, a to może w najpoważniejszej, rok 1844 nie powstydzi się roku 1903. Jakie było wówczas rolnictwo, takiem jest i teraz i wszystkie maszynowe i inne wynalazki wcale mu na zdrowie nie wyszły. W jednym dziale skorzystało ono z maszynowego rozkwitu, w dziale sprzętu, a trochę co do orki; żniwiarki, młócarnie, które się wówczas tylko co urodziły, są rzeczywiście wielką dla rolników pomocą. Ale to produkcji nie zwiększa, a tylko jej zbyt ułatwia. Z drugiej strony widzimy teraz, że kolejarstwo i parowa żegluga zabiły w wielu krajach, osobliwie w Europie, rolnictwo, umożliwiając dowóz tańszych produktów; dawne gospodarstwo wywozowe stało się u nas w Polsce prawie niemożliwem. Co do moich osobistych wspomnień, mogę ręczyć, że wszystkie rolnicze produkty były wówczas bezwarunkowo i tańsze i lepsze, a niech postęp mówi, co chce, „chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj“! Konieczna jest w tej dziedzinie gruntowna, natychmiastowa reforma, do niej powinny dążyć nowe wynalazki, a to powszechny w Europie upadek rolnictwa i sadownictwa, nienormalny wzrost miast i wszelkich rzemiosł przerabiających ze szkodą wytwórczych grozi nam ogromnemi klęskami. Mogę się przynajmniej poszczycić, żem się całą swą działalnością nie mało miał przyczynić do zapobieżenia takim smutnym wynikom.

Z tego pobieżnego szkicu może się łatwo czytelnik przekonać o tem, czem był pod względem rzemieślnym świat ówczesny i w czem się on różnił od dzisiejszego. Postęp sześćdziesięcioletni może wyjaśnić bardzo wiele społecznych dodatnich i ujemnych różnic. Człowiek stał się więcej ruchliwym, daleko więcej obcuje z sąsiadem, coraz więcej panuje nad przyrodą — ale jest także coraz więcej zależnym od źródeł siły i ruchu; samodzielny rolnik, rzemieślnik znikają,

wytwarza się masa proletarjatu roboczego, zrozumiale mówiąc, najmitów, najemników.

Ta zależność, ta niby dobrowolna niewola odbija się wszędzie. Niemożliwe było wówczas twierdzenie, że obywatel jest tylko cząstką jakiegoś państwowego (państewnego, powiedziałby Polak) organizmu, jak komórka roślinna jest cząstką marchwi lub buraka, że działają w nas na nas, niezależnie od nas, jakieś bakterje, że rządzą nami wyłącznie, pomimo naszej woli i i świadomości, jakieś abstrakcyjne prawa. Dam teraz do zbadania, czy takie przekonania są skutkiem zbyt jednostronnego rozwoju przemysłu i wiedzy, czy przeciwnie, ów jednostronny rozwój nie jest czasem (pomijając inne przyczyny) wynikiem owych, podług mnie, spaczonych przekonań i zależnej od nich działalności.

Bo w roku pańskim 1844 zupełnie inaczej myślało i wierzyło europejskie mieszczaństwo i szlachectwo, niż teraz — o ludzie wiejskim nie mówię, chociaż i tu zaszły zmiany; ale ponieważ myślenie jego wszędzie kieruje się religjami, a te się od tego czasu nie zmieniły, wielkie różnice nastąpić nie mogły. Używam tu wyrazów mieszczaństwo i lud wiejski zamiast oklepanych „inteligencja“, „reakcja“ i t. p., bo takie jest w rzeczywistości odgraniczenie, a w zachodniej Europie jeszcze bardziej, niż u nas.

Wielka francuska Rewolucja wstrząsnęła całą Europą i pod wpływem wojen i zmian przez nią wywołanych i tej reakcji, która po niej nastąpiła, ułożyły się pojęcia i przekonania ówczesnych ludzi. Przedrewolucyjne porządki, odnowione w roku 1815, trwały jeszcze w większej części Europy, ale jednomyślna opinja ludów, a właściwie mieszczaństwa, potępiała je najwyraźniej i dążyła do ich obalenia. Z drugiej strony miano przykład Anglików europejskich i amerykańskich, których Rewolucja za wzór sobie wzięła i byli oni, że tak powiem, jej poprawcami, bo zwalczali ją w jej Napoleońskim rozkwicie, ale trzymali się stale jej początkowych zasad.

Wierzyliśmy więc mocno w umowę społeczną, będącą odwieczną prawdą jeszcze przed Chrystusem, pożyczoną potem przez Russa od angielskich filozofów, w prawa człowieka i nieograniczoną wolność osobistą, uregulowaną prawem, w skuteczność zatem ustaw, czyli konstytucji, w wolność sumienia, w powszechne głosowanie, uważane jako wszechlekarstwo — ach! jakeśmy się mieli rozczarować. Że zaś ateizm XVIII wieku, niewiadomo jakim sposobem pożyczony przez Rewolucję od caryc i królów, zrobił w praktyce zupełne fiasko, początek XIX wieku znowu się zaczął uczyć u angielskich i niemieckich romantyków, u Waltera Skotta, u Bajrona, u Szyllera, u Götego; nastrój był więc najzupełniej religijny, wpadający u katolików w mistycyzm; co krok spotykałeś proroka, zbawiciela i papieża, co się wyraziło u nas w Towianizmie, u Francuzów w Sęsymonizmie i Furjeryzmie, potem w religji Augusta Kąta (Comte). Dawny materjalizm i sensualizm, który miał znowu wkrótce zakwitnąć z taką siłą, błąkał się w teorjach kilku jeszcze bardzo mało znanych myślicieli, że wspomnę początkującego Darwina, albo w postaci panteizmu przejawił się u niektórych mistyków.

(Ciąg dalszy nastąpi).



KONTRABANDA.

Rząd narodowy r. 1831. w niemałym był kłopocie, stojąc przed tak trudnym dylematem: skąd wziąć pieniądze i skąd wziąć broń?

Pieniądze wprawdzie starano się we wszelki możliwy sposób wydostać, już to wstrzymując się od niepotrzebnych wydatków, już to nakładając nowe podatki — lecz środki te, mimo nawet znacznych dobrowolnych ofiar, nie mogły podołać brakowi.

Podobna historja była i z bronią, a zwłaszcza z karabinami. Tych według ogólnych obliczeń miało być w dniu rewolucji w arsenale warszawskim 40.000, lecz według ściślejszych Kołaczkowskiego tylko 36.000. Na dobitkę lud w pierwszym ferworze rewolucyjnym rozchwytał je do szczętu tej samej nocy, a choć potem dyktator wydał surowe prawa co do zwrotu tychże, to jednak nie oddano ich wszystkich, a jeżeli je nawet zwrócono, to w takim stanie, że świeżo utworzone fabryki broni miały przez dwa pierwsze miesiące głównie wykonywać ich naprawy. Karabiny były główną troską, bo z resztą uzbrojenia dawano sobie względnie radę, utworzono bowiem gisernię dział w hutach rządowych w Suchedniowie i w Samsonowie, gdzie też wyrabiano i pociski; lano działa również i w fabryce p. Grégoire pod dyrekcyą Brzostowskiego i w giserni arsenału. Naboje wyrabiało laboratorjum

ogni wojennych. Ilość pistoletów i szabel wystarczała zupełnie, groty do lanc wykuwali kowale, co było rzeczą wcale łatwą.

W Marymoncie i Ojcowie postawiono po jednym młynie prochowym, z których pierwszy wyrabiał 800 funtów prochu dziennie; poczęto wyrabiać saletrę na Solcu i Muranowie. Nawet zabrano się do roboty karabinów, zwłaszcza w dobrach Onufrego Małachowskiego, gdzie zaczęto wiercić lufy, co szło jednak bardzo powoli, raz, że zapotrzebowanie było zbyt wielkie w stosunku do wytwórczości, powtóre, że brakło zdolnych pracowników, a po trzecie, że naprzód trzeba się było zająć naprawą broni z arsenału, popsutej nietylko przez ludność w nocy 29. listopada, ale i przez nieumiejących się z nią obchodzić rekrutów. Co do tego, to cyfry są olbrzymie; w jednym arsenale koszar artylerji naprawiono od 6. grudnia do 24. kwietnia 30.640 karabinów, podczas gdy przez ten sam czas osadzono, mając poszczególne części gotowe, sztuk ledwie 2.307.

Kierownictwo nad temi robotami objął stary jenerał Bontemps, szacowny dla swych wiadomości technicznych nabytek Księstwa Warszawskiego z armji napoleońskiej. A choć może zbytnio nie gorzał ogniem rewolucyjnym, to jednak postawiony na czele tych nowych bądź co bądź dla kraju fabryk, niemałe mu oddał usługi. Wysiłki więc w kraju były wytężane w obu kierunkach, lecz nie przynosiły spodziewanych skutków — nie wystarczały naglącej potrzebie *).

Czego więc kraj nie mógł dostarczyć, mogła jedynie dostawić zagranica. Na nią też zaczęto liczyć. Nie była to jednak rzecz łatwa wobec tego, że oba sąsiednie mocarstwa, t. j. Prusy i Austrja, zerwały wszelkie z Królestwem stosunki, zamykając swe granice dla wszelkiego wywozu w tamte strony. Mimo tych trudności postanowiono spróbować. W celach więc głównie natury finansowej wysłano z końcem grudnia urzędnika banku polskiego Prószyńskiego, który za wstawieniem się rezydenta austrjackiego w Krakowie Lorenza otrzymał pozwolenie od ks. Metternicha udania się do Wiednia, następstwem czego była wysyłka tamtejszego domu handlowego Stametz i Comp. 1465 dukatów tureckich, wartości 25.000 fr.**) Również i potem nie zaprzestano z Wiednia wysyłek pieniędzy, głównie znowu za sprawą Jelskiego, dyrektora banku polskiego, ponieważ Prószyński został na żądanie posła rosyjskiego Tatiszczewa usunięty z Wiednia, jako człowiek niebezpieczny i osadzony na rozkaz Metternicha w Gracu***), a choć i Jelski wkrótce podzielił los swego poprzednika, to jednak jeszcze w lipcu i sierpniu szły większe sumy pieniędzy, raz bowiem 31. lipca 100.000 fl. w 25 baryłkach, drugi raz 76.000 fl. w 18 baryłkach, za pośrednictwem kupca krakowskiego Kirchmayera do Warszawy****).

Pieniądze wydostać było trudniej, ale przewieść łatwiej, o wiele jednak większą napotykał trudność przewóz broni, którą stosunkowo łatwiej było dostać, lecz za to o wiele trudniej przewieść przez granicę i cło, zwłaszcza, gdy była w większej ilości; bo małe transporty po największej części się udawały, a Kołaczkowski oblicza nabytych w ten sposób 1000 karabinów.

W obec jednak ustawicznego zapotrzebowania karabinów chwycono się ostatecznych środków — kontrabandy i to kontrabandy na wielką skalę.

W tym też celu zakupiono w Anglji większą ilość karabinów, które potem miano sprowadzić do kraju.

Lecz Rosja również nie zasypiała sprawy, zwłaszcza, że miała licznych ajentów za granicą, którzy śledzili prawie wszystkich Polaków i ich przesyłki. Nie mógł więc ujść ich uwagi znaczniejszy zwłaszcza transport broni, pod jakąkolwiek by on się znajdował postacią.

Ponieważ zaś droga jego mogła przechodzić tylko przez Austrję, gdyż najbliżej leżało wolne miasto Kraków, tam więc poczyniono starania, by transport ten zatrzymać i nie dopuścić go do rąk polskich.

Tatiszczew, poseł rosyjski w Wiedniu, otrzymał w przeciągu kilkunastu dni aż z kilku stron zawiadomienia o tej przesyłce*****), a choć w szczegółach się owe nie zgadzały, to jednak wcale mu nie

*) Porów. Kołaczkowskiego Wspomnienia 1901 t. V. str. 39 i nast. Barzykowski Historja powstania listopadowego Poznań 1884 t. II. str. 20. Puzyrewski Wojna polsko-ruska (tłum. polskie) str. 27. Ms. Czartoryskich 3939. Rapport o fabrykach prochu i broni ich zapasach i produkcji z 1 maja 1831.

**) Lorenz do Metternicha 3. stycznia 1831, Metternich do Lorenza 8. stycznia 1831, Lobkowitz do Sedlnitzky'ego 17. stycznia 1831. Ministerjum spraw wewn. fascykuł 1226 i 1227.

***) Tatyszczew do Metternicha 7. stycznia 1831, Metternich do Sedlnitzky'ego 10. stycznia 1831.

****) Lobkowitz do Sedlnitzky'ego Nr. 3388.

*****) Maltitz, poseł rosyjski w Berlinie, do Tatiszczewa 8. czerwca 1381; Pozzo di Borgo, poseł rosyjski, w Paryżu, 20. czerwca; Dreuteln, rosyjski radca stanu w Frankfurcie nad Menem, do Meyendorfa 24. czerwca 1831.

przeszkodziło uczynić odnośne przedstawienia u Metternicha*), który zaraz poczynił odpowiednie kroki u prezydenta nacz. wydz. nadwornego policji i cenzury hr. Sedlnitzky'ego**).

Według tych relacji, jak również i donosu z Frankfurta feldmarszałka Latoura***), sprawa przedstawiała się w ten sposób, że zakupione w Anglji karabiny firma paryska Prince et Poullain sprowadziła Renem do Frankfurtu, tu przeładowano je w skrzynki z szampanem i stąd już jako szampan miały iść przez Hanau, Aschaffenburg i Regensburg Dunajem do Wiednia, stąd zaś do Krakowa na ręce kupca tamtejszego Kirchmayera.

Rzeczywiście w Wiedniu policja natrafiła na takie skrzynki. Przybyły one do Wiednia 3. sierpnia za pośrednictwem spedycyjnego domu J. C. H. Rumeleina w Regensburgu, nadane tam 18. czerwca, a przeznaczone dla wiedeńskiego domu handlowego Wayna i Sp. Dokładna rewizja clowa wykazała, że w skrzyniach tylko z wierzchu znajdowały się 2 warstwy butelek wina szampańskiego, a pod niemi leżały obwinięte lufy karabinów i zamki.

*) Tatiszczew do Metternicha 30. czerwca.
**) Metternich do Sedlnitzky'ego 3. lipca.
***) Prezydent rady wojennej Gynlai do Sedlnitzky'ego 28. czerwca.

Było razem w 34 paczkach 1353 butelek szampańskich, 1693 luf karabinowych i 1702 zamków. Całą przesyłkę uznano jako „unrichtige Warenerklärung“, lecz, że dom handlowy Wayna nie chciał jej przyjąć, a nadawca był za granicą i również nie zgłaszał się, więc postanowiono czekać na zgłoszenie się właścicieli 3 miesiące, a potem, gdyby się nikt nie jawił, miano ją „als Vorlass gut behandeln“ *).

Rząd wiedeński nie ograniczył się do tego jednego razu wyświadczenia przyjacielskiej usługi, za pośrednictwem bowiem Metternicha Rosja dowiedziała się o przesyłce broni z Hamburga na Połągę **), a choć te dowody przyjaźni były raczej zewnętrznej natury, to jednak nie mało zaszkodziły one sprawie polskiej.

Bronisław Pawłowski.

*) Ministerjum spraw wewnętrznych w Wiedniu fascykuł Nr. 1226.
**) Metternich do Ficquelmonta 18. lipca 1831. Haus Hof und Staatsarchiv.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Ks. St. Kołłątaja: Raport z wizytacji akademji krakowskiej, odbytej w r. 1777; wydał Dr. Jan Leniek. Nakładem Akademji Umiejętności, w Krakowie 1906.

Wraz z pogłębieniem badań epoki rozbiorów Polski i doby porozbiorowej, coraz częściej zajmują się historycy omówieniem działalności ks. H. Kołłątaja, który tak wybitną rolę odegrał w tych czasach. Pierwszą obszerniejszą a nadzwyczaj sumienną, na nieznanych dotąd źródłach rękopiśmiennych opartą pracą jest niedawno wydane dzieło W. Tokarza pt.: „Ostatnie lata St. Kołłątaja“. Zajmuje się ona jednak przeważnie tylko biografją ostatnich lat K., Lecz monografji, któraby nam dała dokładny obraz życia i twórczości K., nakreślony na szerokiem tle umysłowości owoczesnej, dotychczas nie posiadamy. Również — jeśliby chodziło o pewne epoki działalności K.— brak zupełny obszernego omówienia reformy Akad. krak., bo dawniejsze prace dziś są już przestarzałe. Usprawiedliwieniem po części tego jest ogromna ilość niewydanych dotąd źródeł, listów, memorjałów, których wydanie siłą faktu pracę taką wywoła. Bogactwo bowiem myśli a przytem ich oryginalność, popularność, donioslość i wpływ ich na rozwój stosunków w Polsce, dla badacza obojętnemi być nie mogą.

Uzupełnienia wydania bogatej spuścizny K. podjął się dr. Jan Leniek, który wydał nieznany dotąd raport ks. H. K. z wizytacji Akad. krak. w r. 1777. Podjął się autor pracy, za którą mu się prawdziwa wdzięczność należy. Dokładne bowiem zapoznanie się z tą pierwszą fazą wychowawczej działalności K. pozwoli nam urobić sobie pełny obraz systemu wychowawczego późniejszego prawodawcy gimnazjum krzemienieckiego i reformatora Akad. krak. za czasów Księstwa Warszawskiego.

Wydany z rękopisu raport jest współcześnie sporządzonym odpisem prawdopodobnie z polecenia K., zajmuje się przedewszystkiem stanem akad. krak. przed jej reformą, a więc omawia: historję, ustrój, plan nauk, stan funduszów szkół władysławskich, samejże Akad. krak., przyczem K. dokładnie rozbiera przyczyny jej upadku, przedstawia plan nauki na poszczególnych wydziałach, przyczem gdzieniegdzie wspomina o własnym programie, zajmuje się kwestją mieszkań profesorów, uczniów, zdaje sprawę ze stanu szkół parafjalnych, szkół sandomierskich i domów emerytów. W dodatku znajdujemy dwa listy do ks. Mich. Poniatowskiego, prezesa Komisji edukacyjnej. *t. c.*

Michał Pawlikowski: Wiosenny Gość. Lwów. Księgarnia H. Altenberga 1906. — P. Pawlikowski, jeden z najmłodszych wśród lwowskich poetów, przynosi z sobą dziecięcą prawie świeżość i prostotę. W poezjach jego, objętych powyższym tytułem, jest dużo szczerego, bezpośredniego uczucia, często nieujętego nawet w formę bez zarzutu. Utworów głębszych w książeczce tej niema — widocznie p. Pawlikowski nie wniknął jeszcze w siebie; jeszcze pisze z łatwością, poprostu notuje swe uczucia i wrażenia. Że jednak w „Wiosennym Gościu“ znać talent — niedługo przyjdzie autorowi nasycać krwią blade słowa; a wtedy będzie naprawdę ciekawy, bo jest szczery. *Fel. Gw.*

Drukiem „DRUKARNI POWSZECHNEJ“ we Lwowie, ul. Akademicka l. 8.